ROK 58 WE LWOWIE, 1 SIERPNIA 1936 R. Nr. 8

ŁOWIEC ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WALERY MARYAŃSKI

Strażnik łowiecki w Polsce*)

Jego stanowisko społeczne i prawne

Najpierw coś niecoś z dziedziny statystyki!

W „Łowcu Polskim" istnieje stała rubryka p. t. „Kłusownictwo", podająca do publicznej wiadomości wszystkie, wiadome redakcji wypadki starć straży łowieckiej i organów Policji Państw. z kłusownikami. Zadałem sobie trudu i zestawiłem za rok 1935, ilu strażników łowieckich w walce z kłusownikami poniosło śmierć, ilu zostało rannych a na ilu dokonano zamachów bronią palną.

Cyfry, które uzyskałem tą drogą — są wprost potworne! Na 212 starć straży łowieckiej i policji wypada:

12 strażników zabitych,

30 ciężko rannych,

19 zamachów, z których dotyczący zagrożeni tylko dlatego wyszli cało, że zamachowcom broń nie wypaliła, wzgl. strażnicy okazali się sprytniejszymi i fizycznie bardziej wyrobionymi.

Wynosi to około 20% „strat" — mówiąc językiem dawnych biuletynów wojennych — a to jest bardzo dużo.

Liczba kłusowników zabitych w walkach ze strażą łowiecką wynosi ledwie 9-ciu — zaś rannych 21.

Statystyka ta jest oczywiście bardzo niedokładna, bo są tam tylko te fakta opisane, które doszły do wiadomości „Łowca Polskiego". Ile starć z kłusownikami, o których w żadnem czasopiśmie wzmianki nie ma, a o których pamięć utonęła w protokołach policyjnych i poszła „ad acta"?! Można więc śmiało przyjąć, że w rzeczywistości było tych starć, zabójstw, postrzeleń i zamachów daleko więcej.

Stoimy tedy wobec faktu, że ilość zabitych i rannych strażników jest daleko wyższa niż kłusowników.

A przecież pamiętamy te czasy, w których użycie broni tak ze strony straży łowieckiej jak i kłusowników, należało do rzadkości i zdarzało się sporadycznie — przeważnie w krajach alpejskich; na terenie Państwa Polskiego należały tego rodzaju sprawy do wyjątków.

Stosunki, które na tem polu obecnie zapanowały — stanowią osobny rozdział w dziedzinie tak nadmiernie rozwielmożnionego powojennego bandytyzmu.

Myliłby się, ktoby sądził, że nędza popycha danego osobnika do uprawiania tego niecnego, choć nie pozbawionego pewnej aureoli bandyckiej, rzemiosła — bo jak przewody sądowe wykazały, rekrutują się kłusownicy przeważnie z pośród zamożnych gospodarzy — nie rzadko właścicieli nawet 50-cio morgowych gospodarstw.

Zastanawia, z jak lekkiem sercem, bez krzty wyrzutu sumienia taki kłusownik - bandyta kieruje broń przeciw stróżowi prawa i bezpieczeństwa! Mało to! Śledztwa wykazały, że prawie zawsze w wypadkach, w których strażnik łowiecki, ranny strzałem z zasadzki, stał się niezdolny do walki — kłusownicy rzucali się na niego, o ile byli w przewadze — i z zimną krwią katowali swoją ofiarę lub dobijali wystrzałami; ten bestjalizm charakteryzuje dostatecznie, co za zwyrodniałe i okrutne indywidua są kłusownicy.

Normalna kara za skrytobójcze morderstwo, popełnione z całą premedytacją na strażniku łowieckim, zupełnie na zimno, z wykluczeniem wszelkiego afektu — wynosi zwykle 15 lat więzienia; tylko w jednym wypadku zostali skrytobójcy skazani na karę śmierci przez powieszenie. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w czasokresie 15-letnim conajmniej dwa razy można na amnestję liczyć — redukuje się ta kara w praktyce do 6 lat! A przecież po zamordowanym zostaje zwykle wdowa i nieletnie dzieci!

Z tego widzimy, że i u nas w Polsce, zawód strażnika łowieckiego, sumiennie wykonywany — należy obok zawodu policjanta, do najniebezpieczniejszych.

Zabawne przy tem jest, że nieraz strażnik łow., który we własnej obronie użył broni i zabił, względnie ranił kłusownika, bywał nierzadko aresztowany, trzymany we więzieniu śledczem a nawet jeden leśniczy skazany „za przekroczenie koniecznej obrony" na cztery(!) lata więzienia i trzeba było dopiero prowadzić proces przed sądem apelacyjnym, by uzyskać w końcu uwolnienie „od winy i kary".

Jak inaczej jest np. w Niemczech, państwie odnośnie do stosunków łowieckich wzorowem! Tam powojenny bandytyzm i kłusownictwo zaczęły także hulać — ale załatwiono się z nim bardzo prędko, robiąc krótki proces: wydano dość drakońskie ustawy, które wprawdzie zupełnie kłusownictwa i zamachów na straż łowiecką nie wypleniły — ale zredukowały prawie do przedwojennych rozmiarów. — Charakterystyczną była mowa prezesa rady ministrów Hermana Goeringa, protektora łowiectwa w Niemczech, wypowiedziana 20 stycznia 1934 r., przy omawianiu nowej ustawy łowieckiej: „Zaopiekuję się osobiście każdym leśnikiem, gajowym, czy myśliwym, który będąc w przymusowem położeniu zastrzeli kłusownika. W przyszłości nikt już nie będzie się pytać o to, czy leśnik lub właściciel polowania w ostatniej

*) Przyp. Redakcji. — Artykuł powyższy, przeznaczony pierwotnie dla codziennej prasy (I. K. C.), został tamże tylko w powierzchownem a niedokładnem streszczeniu opublikowany. Ponieważ kwestja poruszona jest bardzo aktualna — więc otrzymawszy od autora oryginał, podajemy go Sz. Cz. w pierwotnem brzmieniu.

chwili uprzedził kłusownika i ci pierwsi nie potrzebują czuć się w roli oskarżonego przed sądem! Kłusownik, który z bronią w ręku, nie podda się natychmiast wezwaniu — musi wiedzieć, że życie jego wisi na włosku, bo życie strażnika, chronione ustawą — jest dla mnie o wiele więcej warte, niż życie niesumiennego łajdaka, który przyłapany na gorącym uczynku, aby ujść zasłużonej kary, za nic sobie waży w częstych wypadkach życie i rodzinę strażnika i strzela do niego. „Jak każdego policjanta biorę zawsze w obronę, tak w przyszłości zajmę się każdym strażnikiem...“

Jasno, bez kruczków prawnych i z uznania godną otwartością, określił swoje stanowisko premier Goering!

U nas przypomina obecna sytuacja strażników łowieckich położenie policjantów w r. 1921—1923, kiedy to nieszczęsny posterunkowy musiał najpierw wzywać uzbrojonego bandytę do podniesienia rąk i odrzucenia broni, potem dopiero w razie czynnego oporu wolno mu było użyć broni białej(!) — a dopiero w ostatecznym razie strzelać tak, by przypadkiem nie postrzelić jakiejś trzeciej osoby — w przeciwnym razie miał policjant proces o przekroczenie praw koniecznej obrony. Nie dziw więc, że przy tym nieudolnym, żadnej próby życiowej nie wytrzymującym procederze tacy Panicze, Orłowscy i t. p. bandyci — wystrzeliwali policjantów, jak zające! Dopiero w roku 1923 i w latach późniejszych rozszerzono te prawa samoobrony na korzyść policjantów i ułatwiono w wysokim stopniu pełnienie ich niebezpiecznej służby.

Strażnicy łowieccy i lasowi nie korzystają jednak z tych prerogatyw i są nadal przy sprawowaniu swoich obowiązków — nie mniej niebezpiecznych, jak policjantów — traktowani z punktu praw samoobrony jak zwykli śmiertelnicy, obciążeni całym alembikiem dawnych przedwojennych niezdarnych przepisów — i rezultatem tego jest, że albo strażnik unika świadomie zetknięcia się z kłusownikiem, albo jest za przekroczenie koniecznej obrony ciągany po sądach — albo ginie od kuli kłusownika.

Chcąc jednak być bezstronnym, trzeba jednak inne okoliczności wziąć pod rozwagę — głównie zaś j a k o ś ć materjału ludzkiego, z którego rekrutuje się nasza straż łowiecka. Niestety nie ma tu mowy o jakiejś selekcji pod względem moralnym; bierze się najczęściej osobniki nie odznaczające się ani zbytnią etyką, ani inteligencją — często analfabetów, nie mających najmniejszego wyobrażenia o obowiązujących przepisach i ustawach. Główna rzecz, by wiedział dany „gajowy“, gdzie zwierzyna wychodzi, był pomocny przy polowaniu, tępił kłusowników, strzelał samopas włóczące się psy i koty — a bardzo często, dostarczał zwierzyny „na stół“. Dlatego nieraz najbardziej poszukiwani na stanowiska strażników łowieckich są ...ex kłusownicy — bo ci znają się najlepiej na tych wszystkich arkanach.

Czy można jednak takiemu osobnikowi przyznać te prawa, jakie ma policjant, który nim rozpocznie swą służbę, musi się wykazać nienaganną przeszłością i przejść przez bardzo ostrą szkołę i w ten sposób dać gwarancję, że nie popełni żadnego nadużycia?

Gdyby każdy Janek, Marcin, Hryć i Wasyl mieli te uprawnienia, to słusznie należałoby się obawiać, że zaczęłoby się prędzej czy później wyrównywać różne rachunki osobiste — i w rezultacie mogłaby się tą drogą stworzyć łatwo banda ulegalizowanych morderców.

Nie dziw więc, że żadne ustawodawstwo nie zgodziłoby się na to i trudnoby było u nas przy obecnem nastawieniu pojęć prawnych stanąć Panu Premjerowi na stanowisku pana ministra Goeringa, bo ani nasi strażnicy łowieccy nie mogą się równać ze strażą łowiecką w Niemczech, poddawaną gruntownej selekcji i bardzo ścisłym egzaminom — ani obecne nasze ustawy nie dają do tego warunków.

Innemi słowy, trzebaby adeptów na zaprzysiężonych strażników łowieckich poddać odnośnie do przeszłości jakiemuś gruntownemu badaniu a także zobowiązać do złożenia jakiegoś egzaminu z istniejących ustaw łowieckich i z wiadomości zawodowych.

Taki egzamin powinienby obejmować następujące działy:

a) Prawo łowieckie,
b) zasady łowiectwa,
c) zasady hodowli zwierzyny,
d) obchodzenia się z bronią,
e) przepisy użycia broni w samoobronie,
f) zużytkowanie zwierzyny łownej,
g) hodowla i tresura psów myśliwskich.

Tu mogłaby oddać ogromne usługi planowana w noweli do obecnego prawa łowieckiego t. zw. „Powiatowa“ względnie „Wojewódzka Rada Łowiecka“, która mogłaby także stanowić forum egzaminacyjne dla tych aspirantów. — Nie kosztowałoby to Państwo ani grosza, bo Rady Łowieckie są planowane, jako honorowe instytucje — trzeba tylko ustawowo rzecz uregulować, t. j. wydać raz tę nowelę. Jest ona już od kilku lat opracowana i wyczekuje w Warszawie tylko zatwierdzenia.

Obowiązki zaprzysiężonych strażników łowieckich nie trudno określić:

1) pomoc przy wykonywaniu łowiectwa,
2) tępienie szkodników,
3) hodowla zwierzyny,
4) ściganie kłusowników i wnykarzy,
5) legitymowanie spotkanych polujących na terenie jego pieczy poruczonym, odnośnie do karty na broń, karty łowieckiej i pozwolenia na wykonywanie polowania.
6) pomoc Policji Państw. w śledzeniu i ściganiu bandytów, złodziei, włamywaczy itp. indywiduów, o ile się oni na terenie służbowym danego strażnika znajdują.

Trudniej jest z prawami, przysługującemi strażnikom łowieckim, bo obecnie opierają się one na przestarzałych ustawach i przedwojennych pojęciach prawnych, które odznaczały się mglistością, zaklauzulowaniem i brakiem prostolinijnej interpretacji i jak to już zaznaczyliśmy, wykazały dosadnie swoją nieżywotność.

Konieczną byłaby reforma ustawodawcza, idąca po linji rozszerzenia praw samoobrony strażnika łow., który zawsze jest w gorszem położeniu, niż kłusownik, będąc zmuszony funkcję swoją zawsze zaczynać od sakramentalnego wezwania do zatrzymania się, odłożenia broni, podniesienia rąk do góry i t. p., który to proceder daje kłusownikowi czas do ucieczki lub do zastrzelenia strażnika.

To rozszerzenie praw samoobrony powinnoby obejmować:

1) prawo bezzwłocznego użycia broni wobec uzbrojonego w broń palną kłusownika lub bandyty, który na jego

pierwsze wezwanie nie odrzuci broni, względnie usiłuje ratować się ucieczką. Ustawodawstwo niemieckie interpretuje ucieczkę z bronią palną jako udowodniony zamiar osiągnięcia najbliższego zakrycia, aby stamtąd móc strzelić do strażnika — i pozwala na strzelanie do uciekającego bez żadnych dalszych wezwań, strzałów ostrzegawczych i t. p.

2) Prawo bezzwłocznego użycia broni przeciw osobnikom, którzy stawiają czynny opór rewizji osobistej, konfiskacie broni lub aresztowaniu — albo godzą w jakikolwiek sposób na zdrowie lub życie strażnika.

Jest rzeczą naturalną i konieczną, że nakładając na straż łowiecką takie obowiązki i wyposażając ją w takie prawa — trzeba nałożyć także obowiązek noszenia widocznych odznak swojego służbowego charakteru (czapka z numerem, tarcza na ramieniu, co zresztą obecnie jest ogólnie praktykowane) oraz legitymacja władzy (starostwa) celem zapobieżenia „köpenickjadom“ i oszustwom.

Dalej jest konieczne automatyczne uprawnienie do noszenia broni palnej tak długiej, jak i krótkiej, jako niezbędnych narzędzi do pełnienia służby; obecnie bowiem także zaprzysiężony strażnik łowiecki, chcąc nosić broń palną, musi mieć kartę na broń, co kosztuje co 3 lata 13 zł. 50 gr. — a w niektórych starostwach, zależnie od widzimisię starosty — co roku.

Ponieważ do obowiązków strażnika łow. należy także tępienie samopas włóczących się psów i kotów — dalej strzelanie wron, srok, jastrzębi i t. p. przeto należałoby w drodze jasno określającej noweli do ustawy wyjaśnić, że zaprzysiężony strażnik do wykonywania tych funkcyj **nie potrzebuje karty łowieckiej,** która na przeciąg 3 lat kosztuje 45 zł.

Jest to konieczne, bo niektóre starostwa interpretują prawo łowieckie w ten sposób, że tępienie zwyż wymienionych szkodników również za polowanie uważają. Tłumaczenie, że np. rakarz nie miewa karty łowieckiej — nie znajduje posłuchu.

Zwolnienie od wykupywania karty na broń i karty łowieckiej jest konieczne, bo racjonalna gospodarka łowiecka, obciążona tylu rozmaitemi podatkami, opłatami, czynszami dzierżawnemi, kosztami żywienia zwierzyny, opłaceniem straży i t. p. zasługuje, by ją od tych opłat uwolnić; trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że zwykle jest w rewirze co najmniej 2—3 a często i więcej strażników — i to zaczyna już obciążać budżet gospodarstwa łowieckiego kwotami, idącemi w setki zł. i ocenić to także z tego punktu widzenia, że każda praca w kierunku podniesienia gospodarki łowieckiej przynosi korzyść nie tylko samemu właścicielowi polowania, lecz także wszystkim sąsiadującym łowiskom, bo zwierzyna nie zna granic.

Przeprowadzenie u nas reformy stanowiska prawnego straży łowieckiej w zwyż wymienionym kierunku byłoby z wielkim pożytkiem dla uzdrowienia stosunków w gospodarce łowieckiej i uprawniłoby nasze Państwo w jeszcze większym stopniu do chlubnej nazwy: „Polska — to raj dla myśliwych“!

STANISŁAW KORWIN-MILEWSKI

„FENOMENALNY”

(Wspomnienie z dawnych lat i polowań na rogacze)

Jako student spędzałem zwykle wakacje w domu mego wuja Stanisława Dąmbskiego w Rudnej.

Razu pewnego podczas takich wakacyj, a było to jeszcze przed „wielką wojną“, postanowione zostały odwiedziny Dylągówki. Projekt ten powitałem z entuzjazmem, bo Dylągówka była prześlicznem osiedlem, zanim jej lekkomyślnie nie zmarnowali źli ludzie, a w Dylągówce mieszkał i gospodarował wtedy mój wuj ś. p. Marjan Jędrzejowicz, najmilszy i najgościnniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem, a przytem znakomity hodowca licznych i pięknych koni i bardzo poważny myśliwy. Cóż więc dziwnego, że już na kilka dni przed tą do Dylągówki wyprawą, ja — młody chłopak, dziedzicznie pasją końską i łowiecką obciążony, nie mogłem sobie miejsca znaleźć i z niecierpliwością liczyłem dni i godziny, które nas jeszcze dzieliły od terminu naszego do Dylągówki wyjazdu.

Wreszcie nadszedł ten upragniony dzień — i w towarzystwie mej ś. p. babki i siostry mojej znalazłem się w Dylągówce, która zrobiła wtedy na nas wrażenie przecudnie rozkwitniętego bukietu, pełnego barw, aromatów i szczebiotu ptasząt.

Nie będę tu opisywał staropolskiej gościnności tego przemiłego podówczas domu, ani galwanizował tych nastrojów, którym tak wtedy, jak i potem wiele razy w życiu ulegałem, oglądając i podziwiając Dylągowskie stado i jeżdżąc na Dylągowskich koniach — bo wszelkie moje wrażenia przyćmił wtedy fantastyczny rezultat wieczornego podjazdu na rogacza, który do dziś dnia pozostał dla mnie, potężnem, niezatartem wspomnieniem łowieckiem.

— — — — — — — — — — — — —

W Dylągowskim dworze, oprócz domowych — zastaliśmy także szwagra gospodarza ś. p. Rotmistrza Jana Jędrzejowicza, znakomitego myśliwego i doskonałego strzelca. W godzinach popołudniowych wyjechał ś. p. Rotmistrz Jędrzejowicz do lasu na rogacza, na wieczorny podjazd. Całe towarzystwo fakt ten przyjęło dosyć obojętnie, tylko ja nie mogłem sobie dosłownie miejsca znaleźć, a ponieważ nikt mi nie zaproponował, bym towarzyszył Rotmistrzowi do lasu, a wpraszać się nie było nam podówczas wolno, więc przynajmniej myślami goniłem wóz podjazdowy i pełen zazdrości roiłem, jak to kiedyś także polować będę, jak zdobywać będę trofea.

— — — — — — — — — — — — —

Długo nie było widać Rotmistrza z lasu. Już dawno skończył się upalny dzień skwarnego lata, czerwone słońce znikło na horyzoncie, wonna oparami letniemi noc wzięła świat w posiadanie, gęste cienie osnuły swą niewidoczną pajęczyną pola i lasy, głęboka cisza zapanowała w naturze... a Rotmistrz nie powracał.

Nie mogłem usiedzieć we dworze. Pod jakimś pozorem wysunąłem się z domu i chodząc przed starą obrosłą wi-

nem werandą Dylągowską, nadsłuchiwałem czy nie usłyszę cichego turkotu rozklekotanej rotmistrzowej linijki. Żadnego odgłosu nie mogłem uchwycić — cisza, głęboka cisza zaległa świat. Tak było cicho i spokojnie, że słyszałem własnego serca bicie. Od czasu do czasu krążyły koło werandy, jak zjawy lotne — nietoperze. Zapatrzony w noc, jakby zaczarowany, samotnie pod werandą oczekiwałem powrotu Rotmistrza.

— — — — — — — — — — — — —

Raptem drgnąłem — zdawało mi się, że usłyszałem jakiś szmer, zdawało mi się, że do mych uszu doleciało jakieś dalekie skrzypnięcie kół. Ależ tak — słyszę, słyszę — to jakiś wóz się zbliża... słychać turkot... słychać go coraz wyraźniej. Za chwilę wiem już napewno, że jakaś fura w kierunku dworu jedzie, słuch mój łowi najpierw słaby, a potem coraz pełniejszy metaliczny głos rozedrgany radością. Głos ten zamienia się wkrótce w krzyk, w jakieś niesamowite wiwaty. Poznaję głos Rotmistrza i jednym susem biegnę na oślep w ciemną noc na jego spotkanie.

Potężny głos Rotmistrza wywabił i innych ze dworu — błysły światła na werandzie, a wtem ostrym kłusem podjeżdża przed dom wóz podjazdowy a na wozie okrakiem siedzi Rotmistrz, trzymając przed sobą ubitego kozła i „ryczy“ z radości — formalnie „ryczy“ trjumfalne: „hurra“.

Dopadam jeden z pierwszych do wozu — patrzę na łeb kozła i oczom nie wierzę... fenomenalny! Łeb rogacza zdobny w cały las dziwnie poplątanych rogów, wspaniały, niesamowity „mylkus“.

A tymczasem Rotmistrz opowiada rozentuzjazmowanym, nabrzmiałym radością głosem, jak go spostrzegł daleko na zrębie, jako go długo podchodził, jak się nie mógł uspokoić i opanować, gdy stwierdził przez „Zeissa“ jaki to fenomen, jak wreszcie w ostatniej chwili już prawie po ciemku, zdecydował się na strzał, jak kozioł padł w ogniu trafiony „na komorę“... Przepyszna, niezapomniana nigdy dla Rotmistrza chwila, niezapomniany dla mnie epizod łowiecki.

— — — — — — — — — — — — —

Nadeszła „wielka wojna“.

Rotmistrz Jan Jędrzejowicz poszedł na tę wojnę z rycerską fantazją jak do tańca, wierząc niezłomnie, że doprowadzi swoich ułanów do wolnej Polski. Nie bylo mu danem tego dożyć. Prowadząc na ochotnika dnia 13 sierpnia 1915 r. do ataku spieszonych swoich ułanów za Łukowem na Podlasiu, padł ciężko ranny od moskiewskiej kuli.

Gdy go wtedy na chłopskim wozie wieziono na tyły i mijano jakiś wiejski kościółek, wydał rozkaz, by zatrzymano wóz i by sprowadzono do niego księdza, aby przed śmiercią mógł się wyspowiadać. Stało się według rozkazu Rotmistrza. A w dwa tygodnie potem oddał ducha Bogu dnia 30 sierpnia 1915, w Hranicach na Morawach.

Zginął dla Polski... jak wielu.

— — — — — — — — — — — — —

Dziś po tylu latach, gdy kończy się upalny letni dzień, gdy wonna oparami noc bierze świat w posiadanie, myśl moja niejednokrotnie bieży pod obrosłą winem starą Dylągowską werandę — dusza marzy o pierwszych wrażeniach łowieckich, o przepysznych parostkach Dylągowskiego kozła, o krwawej bitwie za Łukowem na Podlasiu... i o Rotmistrzowej sławie.



JULJUSZ WIRSKI

Sowy i gołębica

Wieczorem przyszedł do mnie, strasznie zaaferowany i przejęty:

— Pan chciał zobaczyć sowę?

— Chciałbym, ale nie zobaczyć, tylko podpatrzeć...

— Pan ją zabije, prawda?

— Nie, nie zabiję...

Chłopcu przedłużyła się twarz:

— Ona mi gołębie psuje.

— Pilnuj lepiej gołębi. Widocznie nie wszystko jest w porządku na strychu?

— A bo, proszę pana, ciągle jestem zajęty: rano na Bugu, to zejdzie do objadu, potem siatkówka i trening na srebrną odznakę, potem znowu kąpiel i „b o j a w i e m“?...

Okropnie był zakłopotany.

— Ale kiedy tak, to ja jutro wyszykuję wszystko na fest! Zobaczy pan!!! — zapewnił mnie gorąco.

— Dobrze, ale co z tą sową?

— Jest. W parku na samym końcu. Tam, jak się idzie na Kurynki. Wie pan?

Jeszczebym nie wiedział! Kurynki, to był niewielki, dziewięciowłókowy folwarczek moich niedawnych, ale jakże miłych znajomych. Były tam panny, — podlasianki! O Boże!

Tymczasem chłopak trzepał z zaróżowioną buźką:

— Ja panu pokażę teraz drzewo, a jutro pan sam pójdzie przed świtem. Bo ja nie mogę... Znowu byłoby tak, jak z czaplą... Ja tak, jak pan spokojnie — nie usiedzę, — dokończył z westchnieniem.

Poszliśmy starym parkiem, dość ciemnym, gdyż księżyc tego wieczoru wschodził późno. Nieduży wiatr plątał się wśród starodrzewiu i poruszał wierzchołkami i cieńszemi konarami. Przed wysokim modrzewiem, który się chwiał na wietrze, przystanąłem:

Drzewo moje wysokie, wkołysane w wiatr.
Wtopione w ciemny szafir bezgwiezdnego nieba...

— Co pan mówi wiersz?

— Wiersz do drzewa.

— Własny?

B. L.

O Karpackim sprzęcie myśliwskim

I. BROŃ.

Przygotowanie się do jesiennych i wiosennych polowań w Karpatach zależy od warunków łowiska. Tu, jako typ, wybieramy położony na wysokości 1000 do prawie 1800 metrów nad granicą rumuńską, bardzo odległy od najbliż-szych osiedli rewir, do którego trzeba odbyć kilkunasto-godzinną drogę wozem i kilkugodzinną drogę wierzchem lub pieszo.

Jak myśliwy ma się tam wyprawiać i co wziąć ze sobą? Nasamprzód broń. Doradzam mieć ze sobą dwie sztuki broni kulowej o chyżości początkowej nie niżej 650 m/s, z lunetami wmontowanemi tak, aby można strzelić i z pod lunety. Nic łatwiejszego, jak uszkodzenie broni w takim terenie, złamanie łoża, zwichnięcie lunety, zgubienie sprę-żyny podajnika przy broni magazynowej itp. Rezerwa więc jest niezbędna.

Broń ta nie może być za ciężka. Pamiętajmy, że w gó-rach na podchodzie w trudnym terenie, gdy serce ciężko pracuje, a nawet w mroźnej temperaturze przedświtu pot oblewa myśliwego na stromej i mokremi kłodami zawalo-nej ścieżce, — wiele znaczy każde pół kilograma, a pamię-tajmy też, że myśliwy powinien sam nosić swą broń i nie rozstawać się z nią ani na chwilę.

Opłaci się też mieć ze sobą sztućczyk małokalibrowy np. automatyczny Winchester kal. 22. Ten niech nosi „wodor"[1]), ale nie z nabojem wprowadzonym w lufę. — W powrocie z rannego podchodu dobry strzał z takiego karabinka do przypadkowo spotkanego lub zwabionego, ciekawego a hardego kogutka-jarząbka da zadowolenie dla ducha i znakomitą odmianę na talerzu w kolebie. Nie zawadzi również średniej wielkości pistolet automatyczny lub dobry rewolwer.

W drodze powinna być broń długa opakowana w twar-dych futerałach i to w ten sposób, ażeby nie ulegała wstrząsom; najlepiej owinąć ją przed włożeniem do fute-rału w irchę. Najlepiej też będzie trzymać ją w czasie jazdy wózkiem przy sobie, aby nic nie przygniatało i nie obcierało futerałów i aby nimi zbytnio nie rzucało; w cza-sie jazdy wierzchem niech je niesie strzelec lub hucuł. Lu-nety w czasie drogi należy wieść w solidnym twardym kuferku, owinięte irchą lub suknem w futeralikach, aby luźno w nich nie chodziły. Te futerały z lunetami trzeba zawsze opakować tak, aby nic twardego na nie nie naci-skało. Przy każdej lunecie należy mieć pędzel do prze-cierania szkieł, średniej twardości, na krótkiej osadce, a włos pędzla okrywać czapeczką z irchy, aby można go nosić w kieszeniach bez obawy zanieczyszczenia tłuszczem, piaskiem, czekoladą, szpilkami świerkowemi, próchnem i podobnemi rzeczami, które w jakiś tajemny sposób do-stają się do kieszeni w czasie podchodu. — Zresztą ircho-wa czapeczka, czy woreczek, chronią pędzel od zgubienia z kieszeni. A ważna to rzecz nie zgubić go, bo lunety ni-gdy nie należy przecierać ani suknem ani chustką ani irchą lecz zawsze pędzlem. Tylko w ten sposób unikniemy za-rysowania. i mętnienia szkieł Trzeba też lunety dobrze chronić przed deszczem, zdarzają się bowiem na połoni-nach takie ulewy, że woda wciśnie się nawet do wnętrza lunety.

Rankiem w chłodne dni, luneta od ciepła twarzy i od-dechu zachodzi mgłą. Przykre to bardzo, gdy chcemy roz-poznać wieniec i znaleść dobre miejsce na kulę, a każdy ułamek sekundy umniejsza niepowrotnie nieraz szanse. Zaradzić temu można przez dokładne oczyszczenie i wy-tarcie do suchego z zewnątrz szkieł pędzlem, potem lek-kiem natarciem ich mydłem glicerynowem lub specjalnem mydełkiem do szkieł, a nakoniec gruntownem i równo-

[1]) Od: wodzić, huculska nazwa gajowego, który towarzyszy my-śliwemu w podchodzie.

— Nie. Tego drzewa.

Roześmiał się i prosił:

— A dalej?...

— Niema. Prowadź!

— Pan się znowu na mnie gniewa? Popsułem nastrój...

— Ależ nie, utrapieńcze, tylko nie należy stać z zadartą głową przed drzewem.

— Dlaczego?

— Bo... drzewa należy kochać po cichu.

Spojrzał na mnie swojemi ślicznemi, szafirowemi oczęta-mi rozumnie, jak kto dorosły:

— No to chodźmy, — westchnął.

Osiągnęliśmy naturalną granicę parku, wyznaczoną sze-regiem lip wyniosłych, starych, dostojnych. Były piękne! Tak piękne i tak uroczyste, że budziły niemal religijne wzruszenie.

— To tu, — szepnął.

— Gdzie?

— Piąta lipa od muru. Ta rozłożysta. One tu mają dziuplę. Teraz napewno siedzą między gałęziami, tylko że ciemno, więc nie widać.

— Wracamy, — powiedziałem. — Jutro tu przyjdę.

— Ale wcześnie!...

— Jak najwcześniej.

* * *

Właściwie nie było świtu. Około drugiej księżyc zje-chał na dół i oparłszy pobladłą głowę o jakąś puszystą chmurkę, jak o poduszkę, przymknął zmęczone oczy. Gwiazdy roztapiały się w coraz jaśniejszym szafirze nieba. Prawie momentalnie, z minuty na minutę, na wschodzie zaczęły grać pastele seledynu i błękitu. Wdole poza par-kiem i topoliną, płynął skrętami Bug, parując mgłami. — Wtedy właśnie usłyszałem jej śmiech, potem żałosny krzyk, jakby kwilenie dziecka i głębokie westchnienie, oparte na przydechu. Spojrzałem w górę. Siedziała napu-szona na konarze, obok otworu dziupli i czyściła spokoj-nie pióra. Kiedy nadleciała z łowów, nie zauważyłem, ani usłyszałem. Leciała tak cicho. Jak myśl. A może, jak pu-szyste marzenie nocy.

Siedziałem bez ruchu. Na wschodzie zabłysła ostra klin-ga złota i stawała się coraz szersza, coraz intensywniejsza w złocistości. Nie było już gwiazd, a księżyc leżał na nie-bieskiej łące, jak biały obłoczek ostromlecza. Nagle, od

miernem rozprowadzeniem tego smaru znowu pędzlem. Chroni to przed poceniem się soczewek przez jakich 12 godzin. Rozumie się, że szkła lunety powinno się zawsze nakrywać od pyłu i wilgoci czapkami skórzanemi, dobrze z zewnątrz natłuszczonemi. Na zdjęcie czapeczek zwykle jest dość czasu, a gdy spotkanie bliskie i niespodziane, można zawsze strzelić z pod lunety. Lunety powinny być nastawione na 150 m. Bez koniecznej potrzeby nie należy nastawienia tego zmieniać.

Ani na czas rykowiska, ani na toki w górach nie trzeba mieć więcej naboi myśliwskich, jak po 20 sztuk do każdej broni. Wystarczy to nawet w razie kilkakrotnych spotkań, lub dalekich przypadkowych strzałów do wilka. Nie zawadzi jednak mieć prócz tego w kieszonce 5 naboi o pociskach pełnopłaszczowych, nie można bowiem nigdy wykluczyć w specjalnych warunkach miejscowych takiej sytuacji, w której przestrzelenie nawylot grubszej kłody czy drzewa, czy ściany stai lub koleby, może być bardzo wskazane. Nie jest rzeczą przyjemną, nie móc w razie ataku odpowiedzieć skuteczną bronią.

Pozatem jako najodpowiedniejsze wydają mi się pociski z ołowianym nieopancerzonym końcem. Działanie ich tak w rogaczu i wilku, jak i dziku, jeleniu i niedźwiedziu, jest zupełnie wystarczające. Używanie ich nie naraża, jak przy ekspansywnych, na rozpryśnięcie się lub zboczenie kuli na lada gałązce. Naboje trzeba przeglądać jeszcze w domu. Zdarzyło mi się znaleźć w oryginalnej paczce między dziewięciu ładunkami 9,5 mm jeden 9 mm; widywałem też ładunki niemal zupełnie przeżarte śniedzią lub z luźno siedzącym w gilzie pociskiem. Trzeba więc każdy ładunek z osobna dokładnie obejrzeć i oczyścić jeszcze przed wyjazdem. Zbyt wiele nieraz zależy na podchodzie od jednego strzału, aby to lekceważyć.

Myśliwy w górach musi mieć zupełne zaufanie do swej broni i amunicji. Niech więc ją wypróbuje na kilka dni przed wyjazdem na strzelnicy przy dobrym rusznikarzu. Danie jednego strzału na 80 kroków bez lunety, dwóch na 100 kroków a dwóch na 200 przez lunetę, wystarcza najzupełniej. Oczywiście strzelać należy takimi ładunkami, na jakie broń jest ostrzelana i takie też tylko trzeba wziąć ze sobą na toki lub rykowisko. W razie jakichkolwiek niedomagań można wtedy zaraz na strzelnicy albo bezpośrednio potem usunąć te niedomagania łatwo i fachowo; przestrzeliwanie broni już w górach, przy kolebie, nie prowadzi do niczego, jak chyba do niepokojenia rewiru i przesądnego niezadowolenia „wodora“.

Z przyborów do broni polecam mieć w każdym futerale wycior, a prócz tego w płaskiem pudełku blaszanem małą flaszeczkę balistolu — wystarczy 3 łyżeczki płynu — pluszową szczoteczkę i trochę przędziwa, oraz osobno kawałek sukna do osuszania broni.

II. OBUWIE.

Podstawą obuwia w górach są mocne skórzane trzewiki, sięgające trochę powyżej kostki, z dobrą podeszwą skórzaną, i to takie, w których przeszliśmy już przedtem bez przerwy przynajmniej kilka kilometrów. Przydadzą się zawsze do jazdy na miejsce i jako rezerwa. Do podchodów radzę używać t. zw. trampek, których powinno się mieć na 14 dni polowania trzy pary. Jedną parę zostawia się na prawidłach w kolebie, jedną ma na nogach, a jedną niech nosi hucuł w plecaku wraz z pończochami i skarpetkami.

Każde obuwie na podchodzie w górach przemaka. Niewątpliwie trampki przemokną odrazu, ale mają tę zaletę, że wody nie zatrzymują i szybko wysychają, są lekkie i nie ślizgają się ani na trawach ani na mokrych kłodach, a pozwalają stąpać zupełnie cicho. W ruchu mokre obuwie nie szkodzi, a w czasie spoczynku można je w każdej chwili zmienić, wyciągnąwszy suche trampki z plecaka. W ostatnich czasach ukazały się trzewiki Baty, całe gumowe. Są bardzo tanie i nie przemakają z zewnątrz, co nie przeszkadza, że wilgoć przedostaje się do nogi przez poń-

---

strony Kurynek zaciemniała w powietrzu lecąca masa: wracała druga sowa, prawdopodobnie pan domu. Leciał tak cicho, tak wspaniale, jakby nie skrzydła, ale westchnienia uderzały o ciche powietrze rosnącego dnia. Położył się w głęboki wiraż, spłynął w nim do wierzchołka topoli i ślizgiem na lewe skrzydło, a potem na prawe, zbliżył się do sowy. Jednocześnie obydwa ptaki wydały gardłowy szept, potem kwilenie i, przytulone do siebie, utkwiły oczy niewidzące w złote pasmo świtu.

Teraz dopiero moja pasja do wszystkiego, co żyje, miała cudowny objekt obserwacji. Poranna tualeta ptaków rozśmieszała, ich powaga i gardłowa rozmowa wzruszała. — W pewnej chwili jeden z ptaków zbliżył się do otworu dziupli, zajrzał jednem okiem, potem drugiem, jakby sprawdzał, czy podczas nieobecności nocnej nie zakradł się do domu niepożądany gość, wreszcie okrągłym łbem naprzód dał nurka w dziuplę, wabiąc towarzysza. Z zupełnie takiemi samemi ceremonjami weszła do dziupli druga sowa. Nie miałem tu więcej nic do roboty. Wstałem z kłody powalonego dębu, na której siedziałem i poszedłem w pole. Rąbek tarczy słonecznej wypłynął z poza linji horyzontu i powiększał się z każdą chwilą. Wreszcie majestatycznie, jak złoty balon zaczęła wznosić się olbrzymia kula słońca.

Szedłem polną dróżką w stronę folwarczku Kurynki. Zamyślony nie zauważyłem, że z sadu wyszła dziewczyna, idąc tą samą drogą jakby na moje spotkanie. Dopiero miękki głos, coś jakby powolne przelewanie się wody z jednego srebrnego naczynia do drugiego, zmusił mnie do podniesienia oczu:

— Pan o tej porze nie śpi?

— Ach, panna Łućka! — ucieszyłem się serdecznie. — Dzieńdobry pani.

— Dzieńdobry. Ale co pan tu robi o tej porze w polu?

Wyjaśniłem jej w kilku słowach powód wczesnego wstania.

— Sowy? — No, tak... To bardzo ciekawe.

— A pani co robi tak wcześnie?

— Mój codzienny spacer... I musiał mi go pan zepsuć...

— Ja? Miły Boże!

— No oczywista. Przecież teraz nie będę mogła wychodzić, bo powiedzą..., że się spotykam.

— Przysięgam, że się tu więcej nie pokażę.

czochę z nad kostki. W każdym razie są solidniejsze od trampek, jednak o wiele cięższe i nie tak wygodne. Choć trampek nie zastąpią, doradzam je mieć.

Ogólną zasadą jest, aby obuwie, używane w górach (trampki czy inne), miało cholewkę, któraby trzymała i chroniła kostkę i aby było takiej wielkości, by można je wygodnie wdziać na pończochę i na najgrubsze wełniane, narciarskie skarpetki. Uważam, że noga w górach powinna być zawsze obuta w ten sposób. Nie szkodzi to w czasie gorąca, a w czasie zimna nawet w razie zamoczenia nóg utrzymuje ciepło, zawsze zaś chroni stopy od ostrych kamieni i sęków. W każdym razie należy jak najstaranniej zbadać, czy niema wewnątrz w trzewikach gwoździ. Gdyby nawet wyglądały zupełnie niewinnie i w niczem nie przeszkadzały, trzeba je, jak najgorszego wroga, bez litości usunąć. Każde też obuwie należy zaopatrzyć we wkładki na podeszwy z trawy morskiej.

Z obuwiem skórzanem, o podeszwach filcowych i gumowych, wreszcie z obuwiem okutem, nie miałem dobrych doświadczeń. Żadne z nich nie spełnia w warunkach karpackich na rykowisku tak swego zadania, jak trampki.

Za niezbędne też uważam owijacze. Jeżeli są dobre, chronią nogę przed zranieniem, nie zaczepiają o sęczki i nie drą się tak, jak pończochy, a przedewszystkiem czynią nogę o wiele wytrzymalszą na złamanie. Dobrych i dostatecznie długich owijaczy trudno dostać, natomiast można tanio nabyć dwie pary wojskowych owijaczy sukiennych i z tego zeszyć jedną parę odpowiednią do długości i grubości nogi. Takich owijaczy powinno się mieć dwie pary.

Trzeba też mieć ze sobą kilka par zapasowych, mocnych sznurowadeł.

III. UBRANIE I POŚCIEL.

Rykowisko i toki mijają prędko, jak dobry sen, i wcześnie trzeba myśleć o tem, że musimy powrócić po kilkunastu dniach do t. zw. cywilizowanego świata. Nie można wtedy budzić politowania bliźnich niefachowemi łatami. Dlatego dobrze mieć ze sobą jedno ubranie przeznaczone tylko na drogę, a nie na podchody. Do podchodów potrzeba dwóch par krótkich, wygodnych, wolnych ale nie za szerokich w kolanach spodni, z wełnianych materjałów t. zw. sportowych, raczej grubszych niż cienkich i takich, aby przemoczone nie twardniały i nie chrzęściały przy chodzeniu. Podszycie takich spodni na siedzeniu i na kolanach od wewnątrz dobrem płótnem Bilrota, opłaca się bardzo w deszcz i przy siadaniu na ziemi lub mokrych kłodach. Spodnie te mogą być szare lub neutralno-bronzowe (kolory pni). Pozatem możliwie najlżejsza płócienna koszula koloru khaki z przypinanym kołnierzykiem i krawatką takiegoż koloru, a na to impregnowana wolna bluzka płócienna trochę ciemniejsza, zgniło-zielona, ściągana w pasie a na piersi do otwierania patentowem suwanem zamknięciem. Jej boczne kieszenie niech mają wewnątrz sukno, a kieszenie na piersiach zapinane nakrywki. Tak radzę chodzić nawet w przymrozki. Jeżeli bluzka wolna, nie będzie w tem za zimno w ciężkim terenie.

Zato trzeba mieć w plecaku płaszcz z lekkiego lodenu, impregnowany, sięgający parę centymetrów za kolana i zaopatrzony w zatrzaski do przypinania futerka z rękawami. Futerko to musi być lekkie, najlepiej bure koty albo dobre zające lub króliki, z rękawami zawsze z kotów. Jeżeli pada deszcz a ciepło, nic łatwiejszego, jak wyciągnąć z plecaka sam płaszcz lodenowy a futerko zostawić; jeżeli zaś wypada spocząć po forsownym marszu a zimno, wdzianie płaszcza wraz z podpinką futrzaną chroni od deszczu i chłodu nawet przy silnym wietrze. Płaszcz z taką podpinką opasany paskiem, wystarczy nawet w tęgi mróz. Pod prawą pachą rękaw futerka powinien być rozpróty do połowy, a rękaw wierzchu wszyty wolniej aniżeli pod lewą pachą. Takie okrycie mieści się doskonale w niewielkim nawet plecaku wraz z puszką na jedzenie, manierką, trampkami i pończochami na zmianę i zostawia

---

— Okropnie łatwo pan przysięga! — odęła świeże usteczka.

Masz tobie! Myślałem, że usłyszę podziękowanie. Z temi pannami nigdy nic niewiadomo. W duszy rżałem ze szczęścia, jak źrebiec. Bywałem tam i serdecznie lubiłem cały dom. Ale ją, to już chyba najserdeczniej... Idąc obok dziewczyny, patrzałem ze wzruszeniem na jej delikatną twarzyczkę: — musi być pachnąca i świeża, jak morela — pomyślałem. Niebieskie oczy panny, nieco skośne i dzięki temu nadające twarzy niewysłowiony urok madonny Fra Angelico, patrzały w pole cichem spojrzeniem dziecka, usta, może nieco zaszerokie, wilgotne były i czyste. Usta te nie zaznały nigdy ohydy pomadki... Nie zaznały też pocałunku. To było jasne, że są, jak dwa płatki róży, rozchylone dopiero co, tak, że nawet promień słońca nie zdążył ich rozgrzać...

Milczeliśmy oboje. Ja bo oddychałem jej obecnością, jak obecnością cudnego kwiatu, ona zapewne dlatego, że byłem jej najdoskonalej obojętny. Tak mi się przynajmniej zdawało podczas całej znajomości.

Tymczasem zrobił się pełny dzień, ze słońcem na wysokości jednej trzeciej nieba, z trelami obudzonych skowronków, świergotem trznadli, czyżyków, pogwizdywaniem kosów i całego tego bractwa, którego tak dużo w dolinie Bugu. Ziemia pachniała, obmyta rosą i mgłami, od rzeki szła zdrowa wilgoć i powiew lekkiego wiatru. Panienka szła powoli, zrywając na skraju dróżki kwiaty:

— Pan przyjechał ze stolicy? Nie - pra - wdo - podo - bne!

— Dlaczego?

— Bo skoro tak się już stało, że zepsuł mi pan mój spacer poranny, to niech mam przynajmniej tę pociechę, że usłyszę kilka zręcznych i mądrych słów z dostojnych warg.

— Niestety! — Dostojne słowa uciekły z głowy i języka, jak te mgły poranne przed słońcem, przed promieniami pani oczu, — zdobyłem się na patos ironji.

— Doprawdy? Jaki pan wzniosły!

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

— Cóż to znowu? Z onieśmielenia w śmiech?

— Oh, przepraszam. To było tak sobie. Jestem w dalszym ciągu nieśmiały.

— I cóż to bywalca stołecznych zabaw i szaleństw tak onieśmiela, jeżeli można wiedzieć?

jeszcze miejsce na lornetkę w futerale i apteczkę. Cały taki plecak nie waży 10 kg, łatwo więc nosi go gajowy, a gdy św. Hubert obdarzy wieńcem i gdy trzeba plecak wziąść samemu, aby gajowy mógł nieść całą głowę byka, nie zacięży wcale za przykro, nawet i przez kilka kilometrów i nawet na stromych stokach, zwłaszcza, jeśli się idzie za gajowym i patrzy na kapitalny wieniec.

Impregnowania bluzki i płaszcza najlepiej dokonać samemu. Kupuje się za kilkadziesiąt groszy w każdym lepszym składzie proszki „antipluvius“ z przepisem użycia. Proszki te rozpuszcza się w wodzie i moczy w niej ubranie przeznaczone do impregnacji. Trzeba to zrobić na conajmniej tydzień naprzód przed wyjazdem, aby rzeczy mogły powoli wyschnąć. Taka impregnacja wystarcza na cały rok.

Do podchodu nadaje się jako nakrycie głowy tylko kapelusz filcowy z krysami, barwy gniło-zielonej. Doradzam mieć dwa ze sobą.

Prócz tego wszystkiego trzeba mieć i bundę. Może się bardzo przydać w razie niepogody i zimna w czasie podróży, a napewno przyda się w kolebie. Wreszcie trzeba mieć w kolebie dobrą ciepłą piżamę, najlepiej ciemno-zielonego koloru. Jaskrawa, jeżeli nie razi nas samych w tem otoczeniu — to razić będzie hucułów.

Zmęczone na podchodzie stopy domagają się w kolebie odpoczynku, niechże więc pantofle będą wygodne, do wdziania bez pomocy rąk i takie, aby można w nich chodzić nietylko po kolebie.

Bieliznę wziąć i zwykłą i cieplejszą, a chusteczki o barwach ochronnych.

Swój własny siennik nigdy nie zawadzi, a miejsca zabiera niewiele i nieraz pomaga przy opakowaniu rzeczy. Na miejscu znajdzie się zawsze świeże siano lub „foja“[2]) do wypchania. Poduszkę najlepiej mieć małą, gumową do nadymania. Prócz tego dwa prześcieradła i dobry wełniany koc. Łóżka polowego nie doradzam; zabiera dużo miejsca a jest zawsze zimne. Zato po przybyciu do koleby trzeba kazać urządzić sobie możliwie wygodne posłanie. Potrafi to każdy hucuł z pomocą siekiery i kilku gwoździ. Ale trzeba tego przypilnować i pamiętać, że na rykowisku niewiele się spoczywa, a krótki sen musi być wygodny. Jeśli łóżko już zastaliśmy, doradzam usunąć z niego dawne posłanie a sztelarz i deski sparzyć dokładnie ukropem.

(Dok. nast.)

[2]) Drobne gałązki świerczyny lub jedliny.



— Pani...

— Ja? Taka prosta dziewczyna?

Była tak prześliczna w tej chwili, z tą swoją niewymuszoną, bezwiedną zalotnością pół dziecka, pół-kobiety, taka ufna i wierząca, że coś mi strzeliło do głupiego łba, jakieś upojenie porankiem, słońcem, kwiatami, a nadewszystko nią, że nie wiem w jaki sposób, ale porwałem ją w ramiona, jak warjat, i spłoszoną, niespodziewającą się czegoś podobnego, bezradną wobec mojego szaleństwa — pocałowałem w same usta, w te usta, co do których mogłem przysiądz, że nie były nigdy całowane.

— Panie! — urwała i patrzała na mnie w milczeniu. — W oczach zabłysły łzy.

Opanowałem się, o ile to było możliwe:

— Panno Łućko, Łucuś moja. Ja przecież panią kocham!...

* * *

Kiedy po dwuch godzinach wróciłem do dworu, matka, moja kochana, wyrozumiała matka, która z pobłażliwością traktowała moje wycieczki „zwierzęce“ — zapytała:

— I cóż, widziałeś sowę?

— Widziałem, mamo, ale...

— Sądzę, żeś nie strzelał? — spojrzała surowo.

— Nie, ale za to... Widzisz mamo. Z tą sową nie wyszło... To jest owszem, ale... do djabła... Złapałem gołębia! Może gołębicę... Cudo!

— Czyś ty zwarjował?!

— Może... — i nie panując już nad sobą, ukląkłem u nóg matki i chowając twarz w fałdy jej sukni — szepnąłem.

— Moją przyszłą żonę — matuś...



WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

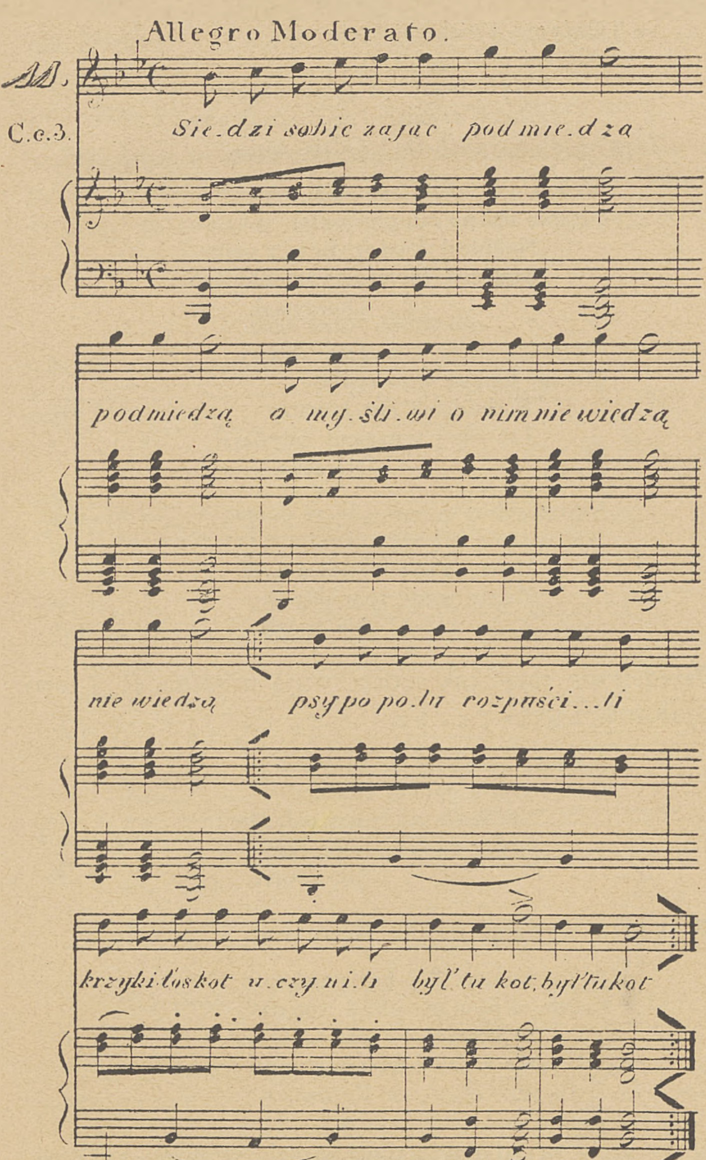
Ciąg dalszy.

XVI
PIEŚŃ O ZAJĄCZKU

Pieśń o *Zajączku* należy do najstarszych, a zarazem najpopularniejszych naszych pieśni wogóle, to znaczy nietylko myśliwskich. Do tej popularności przyczynia się niewątpliwie okoliczność, że opiewa ona tragikomiczny los zajączka, ściganego z zawziętością, godną jakoby lepszej sprawy i że zawiera zarazem satyrę na myślistwo, a więc bawi nie samych jedynie myśliwych, ale i niemyśliwski ogół.

Temat zasadniczy ulegał w czasie i przestrzeni najrozmaitszym modyfikacjom, przybierając przytem niezliczone dodatki i urozmaicenia. Pościg za zającem kończy się w jednej wersji szczęśliwą ucieczką i bardzo nieparlamentarną propozycją jego pod adresem myśliwców, w drugiej natomiast testamentem i śmiercią w szczękach chartów.

Powtórzę tu przedewszystkiem tekst słowny i muzyczny z cytowanego w poprzednim rozdziale zbioru pieśni W a c ł a w a z O l e s k a z układem do śpiewu i na fortepian L i p i ń s k i e g o.[1]).



[1]) Słowa w t. I, str. 65, nuty t. II, str. 11.

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,
Psy po polu rozpuścili,
Krzyk i łoskot uczynili
Był tu kot, był tu kot.

Wszystko to jest chłopskie udanie:
Był tu stary zając mospanie,
Dzisiaj rano siedział w życie,
A dopiero pobiegł skrycie,
Czym prędzej, czym prędzej.

Cóż ja tym myśliwcom zawinił,
Czy jakową szkodę uczynił?

Choć w kapuście czasem siadam,
Po listeczku tylko zjadam,
Nie jak wół, nie jak wół.

A ja wina, miodu, nie proszę,
Za to taką biedę ponoszę.
Ja na łąkach sobie żyję,
Zamiast wina, rosę piję,
Sierota, sierota.

Grochu nie wytłoczę, ni prosa,
A w jęczmień nie pójdę, bo rosa.
Ja kusy uciekać muszę,
Ocalając swoją duszę,
Bo mi żal, bo mi żal.

Rozpuścili charty ze smyczy,
Rozumieli, że go uchwycą,
Oni mówią: sa, sa, sa, sa,
A ja czym prędzej do lasa,
Już ja pan, już ja pan.

Wróćcieże się charty, biednięta,
Nie będziecie mieli zwierzęta.
A jużci się pusmucili
I paszczęki pokrzywili,
Wielkie kpy, wielkie kpy.

A skoro zajączek jest w lesie,
Na myśliwych kosmyk podniesie:
Całujcie mię w kurtę wszyscy,
Doganiacze i myśliwcy,
Skorom tu, skorom tu!

Rozmaite odmiany tak treści, jak melodji można znaleść w zbiorach K o l b e r g a, P a u l e g o, R o g e r a i i.[2]), niemniej w rozmaitych pismach perjodycznych[3]), ale przytaczanie ich przekroczyłoby ramy mego szkicu. Ciekawych odsyłam więc do tego rodzaju zbiorów. Podam natomiast wynik zajmujących badań w sprawie d a w n o ś c i *Pieśni o zajączku* w naszej literaturze. Do niedawna zdawalo się, że pierwodruk tekstu poetyckiego pojawił się w znanym druczku z XVII wieku, noszącym tytuł: „P o s t n y o b i a d a b o z a b a w e c z k a“, którego autor ukrywał się pod kryptonimem: P. H. P. W. Jest to rodzaj książki kucharskiej, zawierającej rymowane przepisy kuchenne i opisy dań postnych, jakoteż żartobliwe, nieraz niewybredne uwagi o gościach. Na końcu daje autor radę: *„Najadszy się, to spać, abo w pole na*

[2]) K o l b e r g O., Lud, VI, Krakowskie, cz. II, Kraków, 1873, str. 212, nr. 406 i 407; XIX, Kieleckie, cz. II, Kraków, 1886, str. 157, nr. 474; XXII, Łęczyckie, Kraków, 1889, str. 141, nr. 244. — P a u l i Ż., Pieśni ludu polskiego... Lwów, 1838, str. 165. — R o g e r J., Pieśni ludu polskiego na G. Śląsku... Wrocław, 1880, str. 36—38, nrr.: 67, 68, 69.

[3]) Zob. literaturę w G a w e ł k a F., Bibljografji ludoznawstwa polskiego, Kraków, 1914.

upatrzonego" — poczem w 33 zwrotkach podany jest tekst pieśni o zającu. Józefowi Rostafińskiemu zawdzięczamy przedruk rzadkiej tej książeczki, wydany w r. 1911[4]). Rostafiński we wstępie podaje za Estreicherem daty kilku wydań „Postnego obiadu“, a więc r. 1648, 1653, 1654, 1684 i 1754, zaznaczając, że wydanie pierwsze (1648), które miało się znajdować w Bibljotece Załuskich, jest mu nieznane, tak, iż przedruku dokonał na podstawie wydania z r. 1653. Nazwisko autora pozostaje dla Rostafińskiego niewiadomem. Sprawą tą zajął się później i rozstrzygnął ją znany historyk literatury, Zygmunt Mocarski. Przedewszystkiem już K. Badecki stwierdził[5]), że pierwsze wydanie „Postnego obiadu“ z r. 1648 nie istniało i że w bibljografji podane było omyłkowo zamiast r. 1684. Pierwsze wydanie „Postnego obiadu“ pochodzi więc z r. 1653, czyli jest to wydanie, z którego korzystał Rostafiński. Mocarski wykazał przy pomocy niesłychanie subtelnej i fachowej analizy, że autorem „Postnego obiadu“ był ksiądz Hjacynt Przetocki, pleban wysocki. Na tem nie koniec. Okazało się, że pieśń o zającu była wydana osobno wcześniej, niż „Postny obiad“, bo w r. 1650, pod tytułem: „Heco, abo zajączek pod borem zastrońskim upatrzony... i t. d.“ Zwrócił na to uwagę Brückner[6]). Otóż na podstawie badań Mocarskiego okazuje się, że autorem także i owego druku jest tenże pleban Przetocki, a nie, jak dotychczas sądzono, Cezary, bo ten był tylko drukarzem.[7])

Nie wynika z tego wszystkiego, że ksiądz Przetocki jest rzeczywistym autorem *Pieśni o zajączku*. Jak się bowiem okazuje z badań porównawczych, była to tylko przeróbka pieśni „ludowej“, już wówczas w Polsce kursującej, zapewne o wiele starszej, przeróbka, opatrzona przytem najrozmaitszemi dodatkami z mitologji i terminologji łowieckiej.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby nam przytaczanie wszystkich 33 zwrotek tego najdawniej drukowanego tekstu pieśni. Ograniczę się jedynie do podania niektórych. Pierwsze dwa wiersze pierwszej zwrotki, mówiące o zającu, siedzącym pod miedzą, o którym myśliwi nie wiedzą, — powtarzają się potem stereotypowo z minimalnemi tylko zmianami we wszystkich wersjach.

Zając sobie siedzi pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą:
Po chróścinie zakładają,
Szczują, trąbią i wołają:
Owo bież!

Zając w gęstej parowie dyszy
A myśliwcy zmokli jak myszy,
Szkapy zwlekli, posadnieli,
Psy co lepsze potracieli
Na chrostach.

Tu wiatr deszczem oczy wysieka,
Tu głód przykry kiszek przypieka,
Owdzie wstyd, że nie wtroczeli,
Ba, zgoła, że nie zoczeli
Zajączka.

Więc na babę winę składają,
Abo że mnicha potykają,
Abo sobie przymawiają,
Abo też na psy zganiają
Nieszczęście.

Następuje barwny opis najrozmaitszych sytuacyj, w miarę, jak zając jużto znika w trzcinie lub w zaroślach leśnych, jużto pojawia się na czystem polu. W pierwszym wypadku myśliwi posyłają za nim ogary, używające takich imion, jak *Polka, Stroisz, Cytra, Cymbał* i t. d. w drugim wypadku spuszcza się ze smyczy czekające już niecierpliwie charty, jak *Melenę, Lotkę, Wędkę, Rozboja*.

Jak *Murzyna* zając obaczył,
Od strachu się zgoła zabaczył:
Wypadł nieborak na pole,
Ale *Seget* z *Wędką* w dole
Wita go.

Żadnego z nich zając nie wita,
Ale ani o drogę pyta:
Wyrwawszy się przez zagony,
Bieży czwałem, choć strudzony,
Gdzie może.

Melena go żartko zgoniela,
Mężnie raz po raz obrócieła,
Nadbiegł *Rozbój*, futra z niego
Szarpnął, *Pieszczoch* zemdlonego
Dotrzymał.

Dojeżdża psów kobuźnik chciwy,
Harap! harap! woła tęskliwy,
A chudzina kot konając,
Tak swój testament zmyślając,
Narzeka.

Siedzę sobie w boru jak w domu,
Nie uczynię szkody nikomu,
Miasto mięsa wrzosem żyję,
Miasto wody rosę piję
Na trawie.

Przedstawia zając jak może swoją niewinność i nieszkodliwość i pyta:

Niewiem, cochmy to uczynieli,
Cochmy tym panom zawinieli:
Tak wiele ich z nas jednego
Gonią zwierza ubogiego,
Jak zbójce.

W końcu wydając ostatni dech, jeszcze pokpiwa:

Ja już konam. Wy psy powieszać
Każcie, a psiukom otrąb zmieszać,
Że kopą psów nas jednemu
Nie radzą więc ubogiemu
Kotowi.

A wreszcie przedstawia niestosunek strat do zysków, wyszydza ofiarę z całych wiosek na utrzymanie psów, na-

---

[4]) Wydawnictwa Akademji Umiejętności w Krakowie, Bibljoteka pisarzów polskich, nr. 60, Kraków, nakładem Akademji Um., 1911.

[5]) Badecki K., Literatura mieszczańska, Lwów 1925, str. 221.

[6]) Brückner A., w recenzji przedruku Rostafińskiego, „Pamiętnik literacki“, XI, 1912, str. 329—330.

[7]) Unikat, zachowany w oddziale słowiańskim Bibljoteki Akademji Nauk w Leningradzie, a pochodzący z wywiezionych zbiorów Bibljoteki radziwiłłowskiej w Nieświeżu, posiada następujący tytuł (podaję za Mocarskim): „Heco, abo zaiączek dla vćiechy Iego Mości Pana Mikołaia z Przytyka Podlodowskiego, Chorążego Dobrzyńskiego, Pod Borem Zastrońskim Vpatrzony, Ruszony Obłąkány, y Dochowány, Przez Franciszka Cezarego, K. I. M. Typog. W Krakowie Roku Pańskiego 1650“. — Mocarski ogłosił swe ciekawe badania w „Pamiętniku literackim“ R. XXX, z. 1, 1933 w pracy pod tyt.: Kto jest autorem epigramów: „Postny obiad, abo zabaweczka“ i t. d.

rażanie zdrowia i życia, bo nieraz i złamanie karku w pogoni za marnym zającem i tak kończy:

Nie zrodziely owsy na polu,
Inszych też zbóż mało w zapolu:
Psy do djabła, koń do stajnie,
Bo was wielu zgubi marnie
Myślistwo.

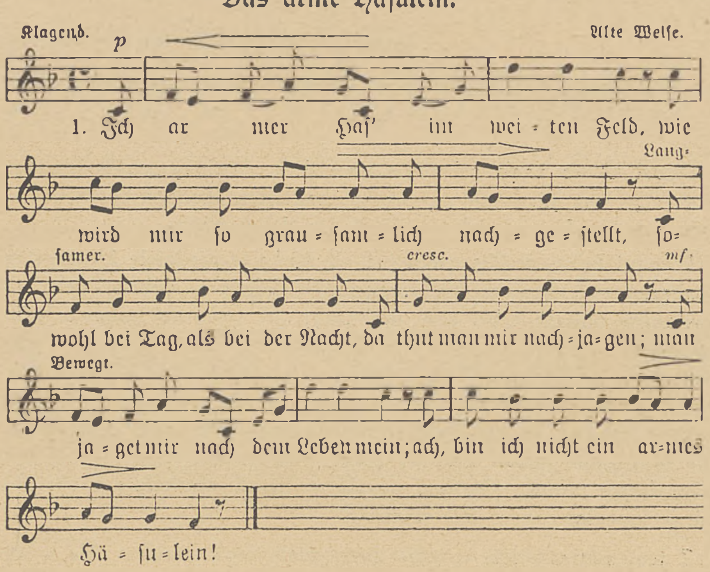
Pieśń o zajączku niema rodowodu polskiego. Przeciwnie: są poszlaki, że przywędrowala ona do nas skądinąd. Jak podnosi Bystroń[8]), „temat to w XVI i XVII wieku bardzo popularny w Niemczech, do dziś dnia zresztą powszechnie znany, zwłaszcza dzieciom, jako t. zw. *„Häsleins Klage"*; spotykamy go również w Anglji i Holandji. W drugiej polowie XVI w. tłumaczy tę pieśń Benedyktyn Huseman Beckemensis z Westfalji na łacinę":

Flevit lepus parvulus,
Clamans altis vocibus,
Quid feci hominibus,
Quod me sequuntur canibus?
Neque in horto fui,
Neque olus comedi.
Quid feci — etc. etc.

„Może za pośrednictwem tekstu łacińskiego — wywodzi Bystroń — może (co nawet prawdopodobniejsze) wprost z wersyj niemieckich, dostał się ten temat i do nas, podobną jak w Niemczech osiągając popularność".

Przytoczę tu teraz dla porównania muzykę i tekst piosenki niemieckiej p. tyt. *„Das arme Häsulein"* podług jednego ze zbiorów niemieckich pieśni myśliwskich.[9])

Das arme Häsulein.



[8]) Polska pieśń ludowa... wyd. 2, Kraków, 1925, (w ramach Bibljoteki narodowej, Ser. I, nr. 26), str. 89—91.

[9]) H. Burkhardt's Jagd= und Waldlieder... Bearb. u. herausgegeben von B. Pompecki, Neudamm, Neumann, b. d., str. 453, Nr. 505. Pieśń podana jest bezimiennie, jako ludowa (altes Volkslied) z melodją, również bezimienną (alte Weise).

Ich armer Has' im weiten Feld,
wie wird mir so grausamlich nachgestellt,
sowohl bei Tag, als bei der Nacht, da tut man mir nachjagen;
man jaget mir nach dem Leben mein;
ach, bin ich nicht ein armes Häsulein!

Was fang' ich armer Teufel an?
ich habe ja niemand was leid's getan!
Das Gras, so in dem Walde, das ist die Nahrung mein.
Ich halte mich auf in dem Revier
und sause das Wasser für mein Plaisier!

Erwischt mich der Jäger bei meinem Schopf,
so hängt er mich an seinem Sabulsknopf.
Da tut er mit mir prangen, ich armer Has' muss hangen;
da pimple ich so hin, da pimple ich so her,
als ob ich ein Dieb am Galgen wär'.

Und hat er mich gebracht nach Haus',
so reist er mir die Eingeweide aus;
dann tut er mich auch spicken und an den Bratspiess stecken;
und hat er mich gebraten wie einen Fisch,
so bringt er mich auf grosser Herren Tisch.

Die grossenHerren und die Gäst',
die heben mich auf bis zu allerletzt.
Bei allen Traktamenten, da tun sie mich anwenden;
auf mich da trinken sie den rhein'schen Wein;
ach, bin ich nicht ein armes Häsulein?

W powyższym tekście znajdziemy mniejsze i większe analogje z rozmaitemi wersjami polskiemi. Odpowiednikiem np. 4 zwrotki (o przyrządzaniu zająca) będą m. i. takie słowa polskie:

Kucharka mię już przewraca,
Co chwilę palec (palcem?) pomaca,
I próbuje jak smakuje
I zaraz mię też melduje:
Już dobry, już dobry...[10])

Ale i w melodji można się doszukać pewnych reminiscencyj. (C. d. n.)

[10]) Roger, j. w., str. 37, nr. 68.



SERCE

Ileż to razy w życiu
Złość człowieka bierze,
Gdy słyszy porównanie:
„Bez serca jak zwierzę".

Aby temu zaprzeczyć,
Opowiem tu zdarzenie,
Po którem mi zostało
Bardzo przykre wspomnienie.

Będąc w sierpniu na wsi,
Dla zabicia czasu
Wyszłam raz na spacer
Ze strzelbą do lasu.

A że to godów pora,
Wśród wieczornej ciszy
Łatwo spotkać rogacza,
Co za sarną śpieszy.

On, co zwykle tak czujny
I godzinami stoi
Zanim wyjdzie na łąkę
(Bo szelestów się boi),

W czasie rui jak ślepy
I na wszystko jest głuchy,
Nie przestraszą go głosy,
Nie przestraszą go ruchy.

Stałam na zrębie,
Snując dumanie,
Czy też mi się uda
Dzisiaj polowanie.

Już cienie się snuły,
Zachodziły zorze,
Przedemną polana
Jak zielone morze.

Taka cudów godzina,
Dokoła świergot ptaków,
Co się do snu gotując,
Trzepocą pośród krzaków.

W ten gwar wpada głos inny:
Słychać tupot w dali...
Może tylko złudzenie
Na powietrznej fali?

Lecz nie! Już ich widzę:
Ona lekka, zwinna,
Za nią rogacz wspaniały...
I cóżem ja winna,

Że bez zastanowienia
Strzeliłam odrazu,
Zabiłam jej kochanka,
Jakbym była z głazu...

Jakbym była bez serca,
Nigdy nie kochała
I tak podle, zdradziecko,
Szczęście ich przerwała!

Gdym podeszła do miejsca,
Gdzie upadł rażony,
Ona nie uciekała,
Tylko przerażony

Wzrok na mnie podniosła,
Wzrok taki żałosny,
Jakby pytać chciała,
Kto jest tak zazdrosny,

że go jej odebrał,
By na zew miłości
Już się nie odezwał
Z żadnej odległości...

Choć przed nikim jeszcze
Wzroku nie spuściłam,
Przed nią wtedy z wstydu
Głowę pochyliłam.

A ona tymczasem,
Jak na pożegnanie,
Lizała mu pyszczek,
Przyjrzała się ranie,

Widać grozę śmierci
Dopiero poznała,
Bo podniósłszy główkę,
Boleśnie beczała.

I nareszcie odeszła,
Cicho, wolnym krokiem
I znikła mi w gęstwinie,
Otoczona mrokiem.

Nieraz serce u zwierząt
Widziałam. A u ludzi?
Głupi ten co go szuka.
Nadaremnie się trudzi.

z Czarkowskich Helena Pomorska

Korespondencje

ZE ŚLĄSKA.

Już tak naogół jest wszędzie, że praca społeczna w różnych dziedzinach naszego zbiorowego życia, wykazuje takie czy inne niedociągnięcia. Często poprostu kuleje i przy braku ludzi z inicjatywą — zamiera. Bywa i tak, że ludziom chętnym, złośliwość czy głupota rzuca klody pod nogi. Efekt jest zawsze ten sam: dana organizacja wiedzie suchotniczy żywot.

Fakty te są łatwo zrozumiałe w zrzeszeniach opartych na zasadach ideowych, którym dobrowolną i dorywczą pracę ofiarowują woluntarjusze, nie mający żadnego lukratywnego celu osobistego na oku. Jeśli ich jednak wesprze życzliwe — a jakże notorycznie bierne — poparcie ogółu współczłonków, cele stowarzyszenia osiągnięte być mogą.

Wydaje mi się, że po okresie martwoty, Śląskie Towarzystwo Łowieckie wkroczyło na bity gościniec realnej pracy. Świadczą o tem liczne znaki na ziemi i... niebie. Na ziemi — to wewnętrzna konsolidacja w szeregach, wprzągnięcie szerszego grona osób do realnej roboty, uaktywnienie współpracy z władzami i delegatami powiatowymi, rozszerzenie horyzontu zadań i możliwości, — jednym słowem — pod egidą nowego zarządu, wszczął się w Towarzystwie żywy ruch. Na niebie zaś — bo na tle nieba głównie rozegrał się ten znak, o którym parę słów chcę napisać — to urządzone po raz pierwszy na Śląsku, nakładem dużego trudu i kosztu towarzyskie zawody w strzelaniu do rzutków.

Wspaniały las w Giszowcu już od ranka w niedzielę 21 czerwca rozbrzmiewał strzałami 29 zawodników. Sosny — dębom, dęby — świerkom podały echo 1940 detonacyj. W ochotnej zabawie rozradowały się serca myśliwych. Zadumał się w trwodze o swych mieszkańców bór przetkany tęczową ulewą promieni słonecznych. Rozgwarzył się wnet wesoło, a nawet rozśmieszył na widok niewinnej zabawy, stanowiącej poniekąd przeciwieństwo polowania. Na polowaniu spada trafiony ptak, w zawodach spada — ale ten nietrafiony rzutek. Ogółem poszło w proch względnie rozprysło się w kawałki równo 800 rzutków.

Z tem nietrafianiem wogóle dużo mieli trosk strzelcy. Ale w atmosferze prawdziwie sportowej, brano to raczej na wesoło. Zresztą duża większość pierwszy raz strzelała do rzutków, a dla osiągnięcia dobrych wyników, nieodzowną jest wszak rutyna, którą się nabywa przez ćwiczenie.

Śl. Tow. Łowieckie sprawiło nam radość tą nadzwyczaj sprawnie zorganizowaną imprezą. Główną zasługę ponosi prezes Beszczyński i sekretarz Witkowski. Prowadzeniem zawodów zajął się energicznie Nadl. Stanisław Cenkier. Osobną wzmiankę należy się sędziemu, który — jak na sędziego przystało — był sprawiedliwy. Zresztą pomijam to dla uniknięcia autoreklamy.

Towarzystwo ufundowało 11 premij dla zwycięzców. Do obfitości i wartości nagród, przyczyniła się wydatnie firma broni Mędlewskiego. — Rozebrali je według osiągniętych rezultatów:

1) Wiktor Pinoli — 45 (58),
2) Dr. Roman Drozd — 42 (65),
3. Henryk Waszek — 39 (51),
4) Emil Skuballa — 42 (69),
5) Inż. Dergiman — 39 (60),
6) Karol Krzywoń — 37 (70),
7) Dr. L. Tchórzewski — 34 (69),
8) Inż. Dietr d'Arma — 34 (79),
9) Eryk Markward — 34 (84),
10) R. Mędlewski — 33 (61),
11) Stan. Cenkier — 33 (73).

W konkursie pocieszenia wzięło udział 7 zawodników. Zwyciężył Dyr. Edmund Tomaszewski, zapisując na swe dobro wspaniałą torbę myśliwską przy stanie 9 rozbitych rzutków na 11 strzałów. Najlepszy wynik dnia w poszczególnych serjach: 19 rzutków na 20 możliwych. Jeden z zawodników zdołał przejść przez serję bez żadnego rozbitego rzutka! Dwóch panów wycofało się w toku batalji.

Odbyte zawody dały nam pełnię radości i zadowolenia oraz to przeświadczenie, że przy dobrej woli i wysiłku można wiele zdziałać dla pobudzenia tętna życia w organizacji. Osiągnięty wynik będzie niewątpliwie bodźcem dla Zarządu do dalszej pracy na tem polu. Na zakończenie zawodów zagrały nam trąbki myśliwskie... Szerokim kręgiem szło tęskne echo po dalekim lesie, głosząc dobrą nadzieję, że oto zbliża się chwila, w której wszyscy myśliwi staną społem pod sztandarem św. Huberta. A wtedy — przy sile jaką stworzymy, dla przyszłości i potęgi naszego łowiectwa wybije lepsza godzina...

Dr. Jan Podgórny.



Ś. † P.

TOMISŁAW JĘDRZEJOWICZ

długoletni członek Małop. Towarzystwa Łowieckiego i były członek Wydziału M. T. Ł. zmarł 11 lipca 1936 r. w Gdyni, mając lat 64.

Długa, śmiertelna choroba wytrąciła już przed kilku laty broń z ręki temu dobremu i zamiłowanemu myśliwemu, mimoto interesował się żywo do końca życia łowiectwem i losami naszego Towarzystwa, którego był najwierniejszym przyjacielem.

Śmierć Jego wywołała w gronie Jego przyjaciół i dawnych towarzyszy broni serdeczny żal, gdyż kochali Go wszyscy, dla Jego miłego charakteru i wielkich zalet towarzyskich. *A. M.*

Ś. † P.

WILHELM JAN WYCHERA

Długoletni członek i delegat M. T. Ł., Prezes-Założyciel Mieszczańskiego Towarzystwa Myśliwskiego „Nemrod“, zmarł dnia 8 lipca 1936.

Cześć pamięci zacnego Towarzysza!

Komunikat

Komitet Wystawy Łowieckiej i Fotografji myśliwskiej przypomina, że zgłoszenia na te imprezy jak też i na IV Pokaz trofeów łowieckich należy nadsyłać najdalej do 15 sierpnia 1936. Równocześnie Komitet zawiadamia, że Kancelarja Cywilna Pana Prezydenta R. P. zgłosiła na wystawę trofea prywatne Pana Prezydenta i trofea ze zbiorów spalskich. Mamy nadzieję, że wzięcie udziału w Wystawie Pierwszego Obywatela R. P. skłoni wszystkich myśliwych do obesłania imprezy swemi trofeami.

Poniżej podajemy instrukcję dla wystawców.

Wystawa Łowiecka zostanie otwarta we Lwowie z okazji 60-letniego jubileuszu Małopolskiego Tow. Łowieckiego.

Wystawa odbędzie się w dniach od 5-go do 30-go września 1936 r. włącznie.

Wystawa obejmuje dwa działy:

1. Eksponaty kokursowe,
2. Eksponaty poza konkursem.

Na Wystawę przyjmowane będą:

Wszystkie trofea, które zostały zdobyte w granicach Rzeczypospolitej po dniu 1 stycznia 1926 roku.

Na Wystawę przyjmowane będą:

1. Poroża zwierzyny płowej,
2. Szable dzików.
3. Skóry drapieżników.
4. Mapy, zestawienia, wykazy i t. p. z zakresu łowiectwa, dające pogląd bądź to na określone gospodarstwa łowieckie, bądź też na większe obszary Rzeczypospolitej.
5. Wypchane w całości lub w części ssaki i ptaki.
6. Sztuka związana z łowiectwem.
7. Anomalja, jak deformacje poroży, okazy albinistyczne, melanistyczne i t. p.
8. Trofea egzotyczne.

Premjowanie:

Trzema stopniami tarcz będą premjowane wyniki hodowli, trzema stopniami medali — trofea.

Prócz powyższych we wszystkich działach będą przyznawane listy pochwalne.

Rekordy:

Z pośród nadesłanych eksponatów będą ustalone:

1. Rekordy ogólnopolskie.
2. Rekordy wojewódzkie.

Prócz rekordów, wyróżnione zostaną okazy, które pod względem klasyfikacji utrzymają się na II-em i III-em miejscu.

Zarówno rekordy ogólnopolskie, jak i wojewódzkie otrzymają odpowiednie dyplomy. Podobne dyplomy otrzymają okazy, które osiągną II-gie i III-cie miejsce.

WARUNKI PRZYJMOWANIA EKSPONATÓW:

Wszelkie eksponaty muszą być zgłoszone do dnia 15. VIII. 1936 r., a nadesłane najpóźniej do 2 wrześnita br.

Miejsca na Wystawie dla eksponatów udziela się dla Wystawców zamiejscowych bezpłatnie, zaś dla Wystawców ze Lwowa, którzy nie ponoszą kosztów transportu za opłatą zł. 4.— za 1 m^2 z uwzględnieniem rabatów z tytułu zajmowanej powierzchni.

Opusty: Wystawcy zamawiający: a) ponad 10 do 20 m^2 otrzymują 5%, b) ponad 20 do 30 m^2 — 10%, c) ponad 30 do 50 m^2 — 15%, d) ponad 50 m^2 — 20% **zniżki** z rachunku odnośnych należytości.

Wystawcy przez naklejenie odpowiedniego znaczka ubezpieczeniowego mogą asekurować swoje eksponaty, prawie na każdej stacji wysyłającej, w Europejskiem Towarzystwie Ubezpieczeń Towarów i Pakunków podróżnych.

Koszta asekuracji eksponatów od ognia i kradzieży, od daty otrzymania przez Komitet Organizacyjny przesyłki z eksponatami, w czasie trwania Wystawy i w drodze powrotnej ponosi Wystawca.

Formalności asekuracyjne załatwi Komitet (Wystawa odbędzie się w gmachu murowanym).

Koszty przewozu kolejowego, do Lwowa, za eksponaty przesłane zgodnie z niniejszą instrukcją, ponosi Wystawca. Transport powrotny bezpłatnie.

Wysyłający jest obowiązany do wypełnienia wszystkich formalności, uprawniających wykorzystanie, przyznanych Komitetowi zniżek, a w szczególności do zaznaczenia na liście przewozowym, że przesyłka jest eksponatem na Wystawę Łowiecką.

Powrotną przesyłkę eksponatów uskutecznia Komitet.

Dalsze informacje, dotyczące Wystawy będą ogłaszane w „Łowcu Polskim“ i „Łowcu“.

Korespondencję należy adresować: Komitet Wystawy Łowieckiej, Małop. Tow. Łowieckie, Lwów, ul. Ossolińskich 11.

Przesyłki eksponatów pod adresem: Wystawa Łowiecka, Targi Wschodnie, Lwów, Biuro Transportowe Targów Wschodnich. Stacja przeznaczenia Persenkówka.

Eksponaty na IV Pokaz Trofeów należy zgłaszać na drukach przeznaczonych dla Wystawy Łowieckiej z zaznaczeniem że są zgłoszone na IV Pokaz Trofeów.

Komunikat „Dnia Psa”

Ostatecznie ustalono termin „Dnia psa“, który odbędzie się w ramach wystawy „Nasze lasy i ochrona przyrody“ i Wystawy Łowieckiej, w niedzielę dnia 20 września r. b. na terenach Targów Wschodnich.

Ustalono następujący program „Dnia psa“:

1. W sobotę dnia 19-tego września br. przyjmowanie, wywagonowanie i umieszczenie okazów psów nadesłanych z poza Lwowa w boxach. Żywienie ich o godzinie 18-tej.

2. W niedzielę między godziną 8-mą a 9-tą przyjmowanie, weterynaryjne badanie i obdzielanie psów numerami wedle katalogu. Każdy pieś winien mieć obrożę i kaganiec.

3. Między godziną 9-tą a 12-tą osądzanie psów przez dwie komisje sędziowskie: jednej dla psów myśliwskich, drugiej dla psów do stróżowania i psów pokojowych.

4. O godzinie 12-tej rozdanie dyplomów, oraz kokardek pąsowych (dyplom na medal złoty), zielonych (dyplom na medal srebrny), niebieskich (dyplom na medal bronzowy) i bronzowych (dyplom za wyróżnienie).

5. O godzinie 13-tej żywienie psów w boxach.

6. O godzinie 14-tej, 16-tej i 18-tej defilada wszystkich psów przed publicznością. Rozdanie nagród właścicielom trzech najpiękniejszych psów wedle plebiscytu.

7. O godzinie 15-tej i 17-tej pokaz tresury psów Straży Granicznej.

8. O godzinie 18-tej zamknięcie pokazu psów, wysyłka psów zamiejscowych.

9. O godzinie 19-tej wspólna kolacja wystawców, amatorów psów, oraz członków Oddziału Lwowskiego Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych na terenie Targów Wschodnich.

10. O godzinie 20-tej sprawozdanie tymczasowego Zarządu Oddziału P. Z. H. P. R. i wybór Zarządu.

„Dzień psa“ odbędzie się na terenach Targów Wschodnich, w obejściach w których odbywają się wystawy koni i bydła.

W odpowiednio przerobionych i zaopatrzonych w siatki druciane boxach, znajdą pomieszczenie psy właścicieli poza miejscowych. Właściciele psów będą mogli oprowadzać swoje psy w obrębie barjer przeznaczonych dla oprowadzania koni. Publiczność będzie miała możność oglądania okazów w kole poza barjerami.

Pokazy tresury psów Straży Granicznej odbywać się będą w obrębie obejść na których odbywa się pokaz bydła.

Wstęp dla publiczności 50 gr. Właściciele i służba potrzebna do obsługi psów mają wstęp wolny na teren pokazu psów, za okazaniem duplikatu karty zgłoszenia. Psy wprowadzone na pokaz, nie mogą przed zamknięciem „Dnia psa“ opuszczać terenu wystawy.

Wszelkich informacyj udziela Zarząd Oddziału przy M. T. Ł., Lwów, Ossolińskich 11. Reflektujący na pomieszczenie psów w boxach oraz ich żywienie winni zażądać tego przy zgłoszeniu. Reflektujący na udział w zebraniu towarzyskiem i w kolacji wedle swego wyboru, proszeni są o zapowiedzenie 3 dni przed pokazem.

Zarząd Oddziału.

ZAWODY W STRZELANIU DO RZUTKÓW

Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, odbyte 31 maja 1936 r.

Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, która w jesieni 1935 r. z takim pięknym rezultatem zapoczątkowała wskrzeszenie w większym stylu u nas sportu strzelania do rzutków — zachęcona ogólnem zainteresowaniem, jakie ono obudziło — urządziła znowu, tym razem w samych Pionkach, drugie zawody — godne istotnie, aby im kilka słów poświęcić.

Piękny, a przedewszystkiem ze stanowiska strzeleckiego bardzo pożyteczny ten sport — u nas w ostatnich latach z powodu drożyzny amunicji, a także pewnej, trudnej do wytłumaczenia inercji prawie zupełnie zamarły — trzeba było dopiero wskrzesić.

Osiągnęła to Państwowa Wytwórnia Prochu, dając na zawody amunicję gratis i wyrabiając dla uczestników 33% zniżkę kolejową, nie mówiąc o całym szeregu różnych udogodnień na miejscu.

Te benificja i bardzo niskie „strzałowe“ umożliwiły nawet skromnie sytuowanym amatorom tego sportu wzięcie udziału. Liczne wartościowe i bardzo piękne nagrody podziałały również w dużej mierze animująco. Nie dziw więc, że na te zawody zjawili się reprezentanci prawie wszystkich dzielnic Polski i to w pokaźnej, jak na nasze stosunki liczbie — bo 65 zawodników.

Dyrekcja P. W. P., nie szczędząc trudów i kosztów, urządziła niedaleko za stacją kolejową Pionki, na dużej łące, otoczonej częściowo lasem, częściowo krzakami i zrębami wzorową strzelnicę, budując dwa „standy“, każdy o 4 stanowiskach, — a dalej trybuny

dla sędziów, pawilony dla jury, szatnie, prasy, depot amunicji itd. Nawet trudności przy zakupnie powrotnych biletów wyeliminowano, instalując w jednym z pawilonów biuro kolejowe — okazało się bardzo pożyteczne.

Na krańcu lasu rozbił swój wigwam obficie zaopatrzony bufet.

Tak zaaranżowane zawody znalazły żywe zainteresowanie w kołach naszych strzelców — a na „udeptanej ziemi“ znalazły się najlepsze strzelby Polski, jak naprzykład pp.: Br. Rozenwert St. i Włodzimierz, p. Jeziorowski, Sztukowski, Kitzman, Czerski, kpt. Zalewski, Skalski, Mianowski i inni.

Aby dać możność zapoznania się z lokalnemi właściwościami strzelnicy i trenowania, były „standy“ już na 3 dni przed terminem zawodów dla zamiejscowych otwarte, dla których wygodnych kwater dostarczyło Kasyno Urzędników.

Program obejmował strzelanie w dwóch klasach, a to:

Klasa A: 1) biorący udział w Narodowych Zawodach w strzelaniu do rzutków,
2) posiadający złotą odznakę strzelecką w strzelaniu do rzutków,
3) posiadający pierwsze nagrody w klasie B w r. 1935 w Radomiu.

Klasa B: wszyscy inni zawodnicy.

Każdy zawodnik bez względu na klasę strzelał do 100 rzutków.

Używano amunicji wyłącznie elaborowanej w W. Sp. M. i nabitej prochem „Sokół“ oraz śrutem Nr. 6 (2,5 mm) i Nr. 7 (2,25 mm), zależnie od życzenia i przyzwyczajenia danego zawodnika.

O godzinie 7,45 znaleźli się zawodnicy na miejscu, do godziny 8,50 były ukończone zapisy, — a o godzinie 9 — po krótkiej serdecznej przemowie, otworzył zawody Dyrektor naczelny Dr. Prot.

Strzelano ochoczo i bez przerwy do godz. 19-tej — prawie 10 godzin. — Podaję poniżej tylko rezultaty, osiągnięte przez nagrodzonych strzelców, resztę muszę pominąć ze względu na szczupłe łamy naszego „Łowca“, których nie chcę nadużywać.

I tak osiągnęli na 100 możliwych rzutków:

w klasie A:

1. miejsce p. Br. Rozenwert Stanisław — 98 — puhar kryształowy,
2. „ „ Jeziorowski Witold — 94 — bronz,
3. „ „ Kitzman Karol — 91 — zastawa na biurko,
4. „ „ Sztukowski Stefan — 89 — wazon kryształowy,
5. „ „ Czerski Stanisław — 88 przybory do palenia,
6. „ „ Br. Rozenwert Wł. — 86 — zegar biurkowy,
7. „ „ Zieleniewski Karol — 86 — żeton srebrny złocony,
8. „ „ Ziegenhirte Wilhelm — 84 — żeton srebrny złocony,
9. „ „ Szczepkowski Jan — 82 — żeton srebrny złocony.

w klasie B:

1. miejsce p. kpt. Zalewski Kaz. — 93 — karab. P.W.U. kal. 22,
2. „ „ Skalski Mieczysław — 85 — necceser podróżny,
3. „ „ Mianowski Józef — 82 — futerał na strzelbę,
4. „ „ Pakowski Teodor — 81 — papierośnica srebrna,
5. „ „ Wężyk Franciszek — 79 — termos w skórce,
6. „ „ Makowski Wacław — 77 — torba myśliwska,
7. „ „ Skoczewski Leonard — 75 — manierka,
8. „ „ Ostrowski Michał — 73 — trójnóg myśliwski,
9. „ „ Błasikiewicz Czesław — 72 — żeton srebrny,
10. „ „ Lenc Edmund — 69 — żeton srebrny,
11. „ „ Suski Władysław — 68 — żeton srebrny,
12. „ „ Zgrzebnicki Jan — 66 — żeton srebrny.

Oprócz tych nagród otrzymał każdy z nagrodzonych konkurentów po 100 nabojów z prochem „Sokół“, elaboracji W. Sp. M.

Po przemowie Dyrektora Dra Prota nastąpiło rozdanie nagród.

A teraz kilka słów na temat ogólnych wrażeń, odniesionych na tych zawodach.

Cel t. j. wzbudzenie zainteresowania dla sportu strzelania do rzutków i przedstawienie w należytem świetle naszej, krajowej amunicji śrutowej został w zupełności i tym razem osiągnięty. O pierwszem świadczy najpierw wyższa niż w r. 1935 liczba uczestników. Nie wątpię, że byłaby ona jeszcze większa, gdyby nie liczne akurat na ten dzień (Zielone Świątki) przypadające imprezy strzeleckie w całej Polsce, które wielu strzelcom nie pozwoliły przyjechać do Pionek.

Jakość amunicji krajowej t. j. nabojów W. Sp. M., ładowanych prochem „Sokół“ odniosła wprost r e k o r d o w y wynik, bo na 11.800 strzałów danych tą amunicją, nie zdarzył się ani jeden zaciąg, niewypał, i t. p. Jeden strzał, jak drugi — a rzutki nawet na dalszą odległość rozlatywały się doskonale bez względu na to, czy strzelono śrutem Nr. 6 czy Nr. 7.

Organizacja zawodów była zupełnie na europejską stopę; widziałem zagranicą zawody światowe i mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że lepiej zorganizowanych nie widziałem; wszystko było doskonale i gruntownie, nawet w najdrobniejszych szczegółach przemyślane i żaden zawodnik ani chwili nie miał wątpliwości, co ma robić; nad wszystkiem czuwał komitet organizacyjny, a informacyj udzielało specjalne biuro.

Niemiecka dokładność i staropolska gościnność uprzyjemniały nam pobyt. — Jedynie tej tak sprawnie funkcjonującej organizacji zawdzięczać należy, że przy tej ilości zawodników, 100 rzutkach na zawodnika i nieodzownych rozgrywkach — zdołano strzelając na dwóch „standach“ w jednym dniu te zawody zakończyć. Przecież na każdy „stand“ wypadało około 5400 strzałów, czyli licząc 10 godzin strzelania, wypadało 7—11 sekund na strzał, uwzględniając „poprawianie“ chybionego rzutka 2-gim strzałem, wyrzucanie nowego krążka, gdy wyrzucony rozpadał się przed strzałem w powietrzu i t. p. Zdaje mi się, że nie przesadzę twierdząc, że i pod tym względem organizacja zawodów była rekordowa.

Jeden z obecnych reprezentantów prasy zagadnął mnie, czy lepiej strzelano w Radomiu w r. 1935, czy w Pionkach w b. r.? Oczywiście trudno mi było dać pozytywną odpowiedź, bo programy tych dwóch konkursów były różne. Porównując jednak konkurencję w klasie A, gdzie warunki w r. 1935 i 1936 były identyczne, muszę stwierdzić, że rezultaty w Pionkach były lepsze. I tak zbiło w Radomiu pierwszych 6-ciu strzelców w sumie 521 rzutków, podczas, gdy pierwszych 6-ciu strzelców w Pionkach: 546, co jest dużo, bo przeciętnie wypada po 4 rzutki więcej na jednego strzelca. Oprócz tego było strzelanie w Pionkach chwilami bardzo utrudnione przez silny wiatr.

Między kwestjami, które się między serjami omawiało, wysunęła

się kwestja wyłącznego używania na tych zawodach amunicji W. Sp. M., nabijanej prochem „Sokół" RWP i zakaz używania jakiejkolwiek innej amunicji. Były głosy za dopuszczeniem do konkursu dowolnych gatunków amunicji. Osobiście podzielam to stanowisko zajęte przez kierownictwo zawodów, t. j. używanie wyłącznie amunicji W. Sp. M. z prochem PWP, bo przecież Dyrekcja tej wytwórni musi mieć także interes tej ostatniej na oku. Wprawdzie ogólnie może na normalnych zawodach każdy strzelać amunicją, do której ma największe zaufanie, ale wszystkim wiadomo, że sukces zależy nietylko od dobroci amunicji, ale także od sprawności strzelca, doskonałości broni i wkońcu od szczęścia. Mogłoby się tedy łatwo zdarzyć, że przy szczęśliwym zbiegu okoliczności zająłby pierwsze miejsce akurat ktoś, strzelający nabojami jakiejś konkurencyjnej wytwórni. Ilu laików podniosłoby wrzask, że amunicja W. Sp. M. jest doniczego, bo ktoś wystrzelił właśnie na zawodach w Pionkach 1-ą nagrodę inną amunicją! Jeśli tedy P. W. P. daje gratis na każdego strzelca 100—200 nabojów, to słusznem jest, by zawarowała sobie prawo wyłączności.

Zawodnicy opuścili gościnne Pionki z uczuciem szczerej wdzięczności za tak miłe chwile i z niepłonną nadzieją, że w następnym roku powtórzy się ta impreza.

Inż. Walery Maryański.

KOMUNIKAT

Koło Przysposobienia Wojsk. Leśników w Lubieniu Wielkim urządziło w niedzielę 5 lipca w Parku Zdrojowym zawody sportowe o liczne nagrody, między innemi zawody w strzelaniu z karabinka sportowego do tarczy olimp. na 50 m i strzelanie myśliwskie do rzutków.

Do pierwszej konkurencji stanęło 27 osób, w tem 3 panie:

I. miejsce wśród pań zajęła p. Irena Zielińska 40 pkt.
II. miejsce p. Krystyna Jackowska 38 pkt.
I. miejsce wśród panów zajął p. W. Nowosad Z. S. Lwów 51 pkt.
II. miejsce p. N. Rutkowski P. W. K. 51 pkt.
III. miejsce p. Filuś P. W. L. 49 pkt.

Do drugiej konkurencji stanęło tylko 4 zawodników.

I. miejsce zajął p. W. Georgeon 9 rzutków.
II. miejsce dr. M. Sander 8 pkt.

Gustowne nagrody ufundowała i wręczała właścicielka zdrojowiska p. bar. Brunicka, ponadto najlepszy zawodnik z P. W. Leśn. otrzymał z Okręgu Lwowskiego torbę myśliwską, zaś zwycięzca w strzelaniu do rzutków nagrodę M. T. Ł. we Lwowie — 100 naboi śrutowych.

Pogoda dopisała, zawody prowadzone były sprawnie, jednak nadto w przyspieszonem tempie, a to ze względu na zbyt wczesny odjazd pociągu do Lwowa, bo już o 18-tej.

Na początek sierpnia br. projektuje Koło P. W. Leśn. w Lubieniu Wielkim festyn leśny, połączony z zawodami strzeleckiemi. Ze strzelań myśliwskich przeprowadzony ma być trójbój myśliwski o mistrzostwo Lubienia, przyczem strzelanie odbyłoby się w warunkach jaknajwięcej realnych. Do tej konkurencji proszeni są PP Członkowie M. T. Ł. Informacje — po ustaleniu programu — udzielać będzie kancelarja M. T. Ł. Lwów.

MYŚLIWSKI KĄCIK KULINARNY

ŁYSKA.

Łyska nie zażywa dobrej reputacji pod względem kulinarnym. Wprawdzie we Francji, gdzie urządza się na nią specjalne polowania z nagonką, jadana jest chętniej niż u nas, to jednak i tam próżnoby szukać łyski w spisie potraw stołu wykwintnego. A przecież można ptaka tego przyrządzić wcale smacznie przy zachowaniu pewnych warunków, w kuchni francuskiej zawsze przestrzeganych. — Pierwszym warunkiem jest zdjęcie całej skóry. Po tej operacji smaży się łyskę na maśle w ten sposób, że najpierw należy usmażyć do połowy, t. j. niezupełnie, następnie przełożyć na drugie masło, gorące, na którem dosmaża się do końca. Można na tem poprzestać. Kto chce, może zastosować sposób bardziej skomplikowany. Łyskę już usmażoną dzieli się, t. j. odejmuje udka i skrzydełka, a pierś kraje w paski podłużne, poczem pozostały szkielecik po dokładnem utłuczeniu, wkłada się z powrotem do masła, dodaje 2 lub 3 cebulki posiekanych porów, kropi winem czerwonem i smaży przez 15 minut. Uzyskaną treść przefasowaną rozmieszcza się na poukładanych w rondelku kawałkach pieczystego, podgrzewa wszystko razem przez minut kilka i podaje. Danie można ubrać grzanečzkami, usmażonemi na świeżem maśle. W. Z.

SPROSTOWANIA.

W numerze 7 „Łowca" z lipca b. r. na str. 117 w podpisach pod ilustracją zamiast Józef ma być Jerzy Błeszczyński.

Na str. 127 w pierwszej szpalcie, wiersz 30 od dołu zamiast Medeyski ma być Madeyski.

Na str. 127 w drugiej szpalcie wiersz 32 od góry zamiast Błeszczyński ma być Błeszyński.

Łowiec nr. 7 1936, str. 128, szpalta 2, wiersz 25 od góry — obiecał jako Prezes Państwowej Rady Ochrony Przyrody — ma być członek Państwowej Rady...

Str. 129 ,szpalta 1, wiersz 2 od dołu — przedstawiciel Państw. Rady Ochr. Przyr. Bielski, — ma być Starzeński.

Na odbyte w dniu 1 czerwca 1936 r. zawody strzeleckie M. T. Ł. ofiarowały nagrody w postaci nabojów Państwowe Zakłady Amunicyjne Pianki-Zagwożdżon (1.000 sztuk) i Warszawska Spółka Myśliwska (500 sztuk).

Należy zatem w artykule „Ze strzelnicy" zamieszczonym w numerze 7-mym na stronicy 130-tej, wszędzie tam, gdzie wymieniono firmę „Pocisk", czytać P. Z. A. Pianki-Zagwożdżon a zamiast Warszawskiej Fabryki Amunicji Warszawską Spółkę Myśliwską.

Oddział M. T. Ł. w Krakowie przeniósł się do lokalu przy ul. Krowoderskiej 59/7.

TREŚĆ NUMERU 8:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 70 zł., 1/4 str. 36 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne z góry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie 2 zł. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81. — Oddział w Krakowie, ul. Krowoderska 59/7, P. K. O. 405.265

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50